



**WITAJ  
PIĘKNA  
ANN  
NAPOLITANO**



Tytuł oryginału: *Hello Beautiful*

Copyright © 2023 by Ann Napolitano

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Wydawca prowadzący: Alicja Gaładziej

Redaktor prowadzący: Anna Malocha, Dagmara Małyszka

Przyjęcie tłumaczenia: Dagmara Małyszka

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adaptacja makiety na potrzeby wydania: Pracownia 12A

Adiustacja, korekta i lamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: © Jessica Miller / [jessicamillerpaintings.com](http://jessicamillerpaintings.com)

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania:

Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia autorki: © Jake Chessum

ISBN 978-83-8135-367-0



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Julie i Whit – dla Was*

„Czy ktoś uważa, że jest szczęściem urodzić się?  
Spieszę powiedzieć jej lub jemu, że równym  
szczęściem jest umrzeć, wiem to.

Przeżywam śmierć z konającym i narodziny  
ze świeżo wykąpanym noworodkiem i nie jestem  
ograniczony moimi butami i kapeluszem,  
Przyglądam się badawczo różnorodnym przedmiotom,  
nie ma dwóch jednakowych, a każdy jest dobry,  
Dobra jest ziemia i dobre są gwiazdy, i dobre są  
wszystkie ich satelity”.

Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, część 7,  
tłum. Krzysztof Boczkowski

## WILLIAM

*Luty 1960 – grudzień 1978*

Przez pierwszych sześć dni swojego życia William Waters nie był jedynakiem. Miał trzy lata starszą siostrę, rudowłosą dziewczynkę imieniem Caroline. Istniały nagrywane bez dźwięku filmy rodzinne, na których ojciec Williama wyglądał, jakby się śmiał. Był to widok, którego William nigdy więcej nie oglądał. Twarz ojca była radosna, a powodem tej radości był najwyraźniej maleńki rudzielec, który na jednym z filmów naciągał sukienkę na głowę i chichocząc, biegał w kółko. Caroline dostała gorączki i kaszlu, kiedy mama Williama poszła do szpitala, żeby go urodzić. Gdy oboje wrócili do domu, dziewczynka wyglądała już znacznie lepiej, choć nadal paskudnie kasłała, lecz gdy tamtego ranka rodzice weszli do jej pokoju, znaleźli ją martwą w łóżeczku.

Kiedy William dorastał, rodzice nigdy nie wspominali o Caroline. Na niskim stoliku w salonie stało jej zdjęcie, do którego chłopiec podchodził od czasu do czasu, żeby upewnić się, że kiedyś rzeczywiście miał siostrę. Rodzina przeprowadziła się do krytego granatowym gontem domu na

drugim końcu Newton, na przedmieściach Bostonu. Tam William był już jedynym dzieckiem. Jego ojciec był księgowym, który pracował do późna w centrum miasta. Po tym, jak zabrakło jego małej córeczki, jego twarz nigdy nie była już radosna. Matka Williama paliła papierosy i piła burbon w salonie, czasami sama, a czasami w towarzystwie sąsiadki. Miała kolekcję falbaniastych fartuszków, które wkładała do gotowania, i denerwowała się, gdy któryś z nich pobrudził się lub poplamiał.

– Może nie powinnaś w nich gotować – zauważył raz William, kiedy matka czerwona na twarzy i bliska płaczu próbowała sprać ciemną plamę z sosu pieczeniowego. – Zamiast tego mogłabyś włożyć za pasek ścierkę do wycierania naczyń, tak jak robi to pani Kornet.

Widząc, że matka patrzy na niego, jakby mówił w obcym języku, dodał:

– Pani Kornet z sąsiedztwa? Ze ścierką do wycierania naczyń?

Odkąd skończył pięć lat, spędzał niemal każde popołudnie w pobliskim parku z piłką do koszykówki, ponieważ w koszykówkę – w przeciwieństwie do baseballu czy piłki nożnej – mógł grać sam ze sobą. W parku było zaniedbane boisko z nieużywanym koszem. Godzinami wrzucał do niego piłkę, udając, że jest zawodnikiem Boston Celtics. Jego ulubieńcem był Bill Russell, ale żeby być Russellem, potrzebował kogoś, kogo mógłby blokować. Najlepszym strzelcem był Sam Jones, więc William był zwykle Jonesem. Próbował go naśladować, wyobrażając sobie, że otaczające boisko drzewa to w rzeczywistości wiwatujący kibice.

Pewnego popołudnia, kiedy miał dziesięć lat i jak zwykle przyszedł na boisko, okazało się, że jest ono zajęte. Kilku chłopców – może sześciu, wszyscy mniej więcej w jego wieku – ganiało za piłką. William chciał odejść, ale jeden z nich zawołał:

– Hej, zagrasz z nami? – Po czym, nie czekając na odpowiedź, dodał: – Jesteś w drużynie niebieskich.

Chwilę później William biegał już po boisku, a serce waliło mu jak oszalałe. Gdy jeden z chłopców podał mu piłkę, natychmiast ją odrzucił w obawie, że nie trafi do kosza i zostanie wyśmiany. Gra zakończyła się kilka minut później, bo któryś z graczy musiał wracać do domu, więc pozostali też zeszli z boiska. W drodze do domu William miał ochotę skakać z radości. Od tej pory zdarzało się, że gdy przychodził do parku, chłopcy już byli na boisku. Nie mieli żadnego grafiku, ale zawsze wołali go do siebie, jakby był jednym z nich. Takie zachowanie nie przestawało zdumiewać Williama. Dzieci i dorośli patrzyli przez niego, jak gdyby był przezroczysty. Jego rodzice również zwykle omijali go wzrokiem. William pogodził się z tym i doszedł do wniosku, że to całkowicie zrozumiałe – był w końcu nudnym, niewartym uwagi chłopcem. Jego cechą charakterystyczną była bladość. Miał włosy koloru piasku, jasnoniebieskie oczy i skórę tak białą jak potomkowie Anglików albo Irlandczyków. William był przekonany, że w środku jest równie nieciekawy i mdły jak na zewnątrz. W szkole nigdy się nie odzywał i nikt nie chciał się z nim bawić. Tymczasem dzięki chłopcom z boiska do koszykówki pierwszy raz miał szansę stać się częścią grupy, a przy tym nie musiał z nikim rozmawiać.

W piątej klasie nauczyciel wuefu w szkole podstawowej powiedział do niego:

– Widziałem, że popołudniami grasz w koszykówkę. Jak wysoki jest twój tata?

William spojrzał na niego w osłupieniu.

– Nie jestem pewien. Normalnego wzrostu?

– Czyli będziesz pewnie rozgrywającym. Musisz popracować nad umiejętnością prowadzenia piłki. Znasz Billa Bradleya? Tego niezdarnego gościa z Knicksów? Kiedy był dzieckiem, przyklejał sobie tekturę do okularów, tak że nie mógł

spojrzeć w dół, a więc nie widział własnych stóp. Zakładał te okulary i dryblując, chodził tam i z powrotem po chodniku. Wyglądał jak wariat, ale dzięki temu nauczył się prowadzić piłkę. Doskonale wiedział, jak się odbije, i potrafił ją znaleźć bez patrzenia.

Tego popołudnia podekscytowany William wrócił biegiem do domu. Pierwszy raz w życiu ktoś z dorosłych spojrzął na niego – zauważył go i to, co robi. I uwaga ta go zaniepokoiła. Szukając w szufladzie biurka dziecięcych okularów, dostał ataku kichania. Z przejścia dwukrotnie odwiedził toaletę, zanim ostrożnie przykleił do spodu szkieł okularów prostokątne kawałki tektury.

Zawsze gdy było mu niedobrze albo czuł się dziwnie, bał się, że umrze. Co najmniej raz w miesiącu zakopywał się w pościeli przekonany, że jest nieuleczalnie chory. Nie mówił o tym rodzicom, bo w domu wszelkie choroby były zakazane. Zwłaszcza kaszel. Kiedy William był przeziębiony, kasłał wyłącznie w szafie, za zamkniętymi drzwiami, gdzie odgłosy kaszlu tłumily zapinane na guziki szkolne koszule. Biegając po dworze z piłką i w oklejonych okularach, czuł znajomy niepokój, który laskocząc, pełzał mu po ramionach i karku. Lecz William nie miał teraz czasu ani na choroby, ani na strach. Czuł, że ostatni element jego osobowości wskoczył właśnie na swoje miejsce. Najpierw zauważyli go chłopcy na boisku, a teraz nauczyciel. Możliwe, że on sam nie miał pojęcia, kim jest, ale świat mówił mu, że jest koszykarzem.

Nauczyciel wuefu udzielił mu dodatkowych wskazówek, dzięki którym William rozwinął swoje umiejętności. „Podczas obrony odpychaj dzieciaki ramieniem i tyłkiem. Żaden sędzia nie uzna tego za faul. Przyspieszaj nagle i odbieraj przeciwnikowi piłkę”. William pracował też nad podaniami, starając się oddawać piłkę najlepszym graczom w parku. Chciał nadal z nimi grać, a był pewien, że docenią go, jeśli on doceni ich. Wiedział, dokąd biec, żeby zrobić miejsce dla najlepiej

rzucających. Nauczył się stawiać zasłonę, żeby ułatwić im rzuty. Po dobrym meczu chłopcy poklepywali go po plecach i zawsze chcieli mieć go w swojej drużynie. Ta akceptacja uciszyła nieco strach, który William nosił w sobie: na boisku do koszykówki wiedział, co robić.

Zanim rozpoczął naukę w liceum, był już na tyle dobry, żeby grać w szkolnej drużynie. Miał metr siedemdziesiąt siedem wzrostu i grał na pozycji rozgrywającego. Godziny ćwiczeń w okularach opłaciły się. Był najlepszym dryblerem w drużynie i całkiem nieźle rzucał z półdystansu. Wciąż pracował nad odbiciem, żeby ograniczyć straty. Nadal był najlepszy w podawaniu i koledzy z drużyny zauważali, że lepiej im idzie, kiedy William jest w podstawowym składzie. Był jednak nowy w drużynie i starsi chłopcy nie zapraszali go na zakrapiane imprezy organizowane w piwnicach domów. Byli więc zszokowani – jak zresztą wszyscy – kiedy podczas wakacji po drugiej klasie William urósł o kolejne dwanaście centymetrów. Zupełnie jakby jego ciało nie potrafiło przestać rosnąć, a nim skończył liceum, miał już dwa metry cztery centymetry wzrostu. Jadł niewystarczająco dużo jak na swój wzrost, przez co był chudy jak patyk. Matka patrzyła z przerażeniem, gdy rano wpadał do kuchni i za każdym razem, gdy pojawiał się w pobliżu, dawała mu jakąś przekąskę. Myślała chyba, że jego chudość źle świadczy o niej, ponieważ jak każda matka była odpowiedzialna za karmienie swego potomstwa.

Rodzice czasami przychodzili na mecze koszykówki, robili to jednak rzadko i siedzieli na trybunach cicho, jakby nie znali żadnego z graczy. Nie było ich jednak na meczu, podczas którego William, próbując zrobić zbiórkę, został brutalnie odepchnięty. Przewracając się, wykręcił ciało i upadł niefortunnie na prawe kolano. Staw zamortyzował upadek i przyjął na siebie ciężar ciała, a William usłyszał chrupnięcie w kolanie i nagle wszystko dookoła spowila mgła. Jego trener, który znał tylko dwa rejestry: krzyk i mamrotanie,

ryczał mu do ucha: „Wszystko okej, Waters?”. William zwykle odpowiadał zarówno na krzyki, jak i mamrotanie w formie pytania. Nigdy nie czuł się dość pewny, żeby jego słowa zabrzmiały jak stwierdzenie. Tym razem odchrząknął. Mgła wokół niego i w nim była gęsta i towarzyszył jej nieznośny ból emanujący z kolana.

– Nie – odparł.

William złamał rzepekę, a to oznaczało, że nie będzie grał przez ostatnie siedem tygodni sezonu. Nogę wsadzono w gips i przez dwa miesiące miał chodzić o kulach. Pierwszy raz, odkąd skończył pięć lat, nie mógł grać w koszykówkę. Siedział na krześle w swoim pokoju i rzucał papierową kulką do stojącego pod ścianą kosza. Chmury, które nadsięgnęły wraz z kontuzją, pozostały, skórę miał wilgotną i zimną. Lekarz zapewniał, że dojdzie w pełni do siebie i w ostatniej klasie wróci na boisko, jednak strach nie opuszczał Williama ani na chwilę. Coś dziwnego stało się z czasem. Czuł, jakby już na zawsze miał pozostać uwięziony w tym gipsie, krześle i domu. Zaczął myśleć, że nie da rady, że nie wytrzyma w tym połamanym ciele ani chwili dłużej. Myślał o swojej siostrze Caroline i o tym, jak odeszła. O jej nieobecności, której nie rozumiał. I gdy wskazówka zegara przeskakiwała o kolejną minutę, żałował, że on również nie może przemiąć. Poza boiskiem był nikim i do niczego się nie nadawał. Gdyby zniknął, nikt by za nim nie tęsknił, zupełnie jakby nigdy nie istniał. Nikt nie rozmawiał o Caroline i o nim też by nie rozmawiano. Dopiero gdy zdjęto mu gips i znowu mógł biegać i rzucać, mgła się rozwiła, zabierając ze sobą myśli o niebycie.

Jako obiecujący koszykarz z całkiem niezłymi ocenami William otrzymał sporo propozycji stypendiów z college'ów, których drużyny brały udział w międzyuczelnianych rozgrywkach Division I. Był za nie wdzięczny, dlatego że rodzice słowem nie zajaknęli się o tym, iż opłacą mu naukę

w college'u, oraz dlatego że gwarantowały, że będzie mógł grać. William chciał wyjechać z Bostonu. Nigdy nie był dalej niż sto pięćdziesiąt kilometrów od centrum miasta. Przeraziły go jednak bagniste upały Południa, dlatego wybrał stypendium na Northwestern University w Chicago. Pod koniec sierpnia 1978 na dworcu kolejowym William ucałował matkę na pożegnanie i uścisnął ojcowską dłoń. W jego głowie pojawiły się dziwne myśli: że może już nigdy nie zobaczyć rodziców i że mieli tylko jedno dziecko – i nie był to on.

W college'u William, zapelniając swój grafik, skłaniał się ku zajęciom z historii. Czuł, że powinien nadrobić zaległości w kwestii tego, jak działa świat, i wydawało mu się, że dzięki historii pozna odpowiedzi na nurtujące go pytania. Podobał mu się sposób, w jaki historia patrzyła na rozmaite wydarzenia i odnajdywała w nich pewną prawidłowość. Coś się wydarzyło, ponieważ wcześniej wydarzyło się coś innego. Nic nie było dziełem przypadku i dlatego można było narysować linię łączącą zabójstwo austriackiego arcyksięcia z wybuchem pierwszej wojny światowej.

Życie w college'u było zbyt inne, by mogło być przewidywalne. William próbował znaleźć spokój wśród podekscytowanych studentów, którzy przybijali z nim piątki, kiedy szedł gwarnym korytarzem akademika. Dzielił dni między naukę w bibliotece, treningi koszykówki i zajęcia. W każdym z tych miejsc wiedział, co ma robić. Siadał w sali wykładowej, otwierał podręcznik i gdy rozpoczynał się wykład, czuł, że ogarnia go ulga.

Podczas zajęć William rzadko zwracał uwagę na innych studentów, jednak na seminarium z historii Europy trudno było nie zauważyć Julii Padavano. Sprawiała wrażenie stale oburzonej, a swoimi pytaniami doprowadzała do szału profesora, starszego Anglika, który nieustannie miał w dłoni materiałową chustkę. Długie kręcone włosy falowały wokół jej

twarzą niczym zasłony, kiedy mówiła rzeczy w stylu: „Profesorze, ciekawi mnie w tym wszystkim rola Clementine. Czy nie jest prawdą, że była główną doradczynią Churchilla?”, albo: „Czy mógłby pan wyjaśnić, na czym polegał wojenny system kodowania? Chodzi mi o to, jak dokładnie działał. Chciałabym zobaczyć przykład”.

William nigdy nie odzywał się na zajęciach, tak jak nigdy nie nachodził wykładowców w czasie dyżurów. Uważał, że rola studentów ogranicza się do tego, że mają siedzieć cicho i przyswajać tyle wiedzy, ile zdołają. Podzielał zdanie profesora na temat kędzierzawej dziewczyny i tego, że jej częste pytania i wtrącenia – choć ciekawe – były niegrzeczne. Struktura zajęć przywołała na myśl materiał i opierała się na tym, że studenci słuchali, podczas gdy wykładowcy przekazywali im wiedzę utkaną niczym dywan ze starannie dobranych słów. Tymczasem ta dziewczyna robiła dziury w tym właśnie materiale, jak gdyby nie miała pojęcia o jego istnieniu.

William był zdumiony, gdy pewnego popołudnia po zajęciach podeszła do niego i oznajmiła:

– Cześć. Jestem Julia.

– William. Cześć. – Odchrząknął, bo były to chyba pierwsze słowa, jakie wypowiedział tego dnia.

Dziewczyna patrzyła na niego dużymi, poważnymi oczami. Zauważył, że w promieniach słońca jej kasztanowe włosy mają złocistomiodowe pasemka. Zresztą cała wydawała się rozświetlona, jak gdyby miała w sobie światło.

– Dlaczego jesteś taki wysoki?

Ludzie często robili uwagi na temat wzrostu Williama. On sam miał świadomość, że gdziekolwiek się pojawiał, wzbudzał zainteresowanie i większość ludzi czuła się w obowiązku coś powiedzieć. Kilka razy w tygodniu słyszał pytania typu: „Tam w górze powietrze jest czystsze?”.

Jednak Julia, zadając pytanie, patrzyła na niego podejrzliwie i wyraz jej twarzy rozbawił Williama. Zatrzymał się

na ścieżce przecinającej dziedziniec, więc ona również się zatrzymała. William rzadko się śmiał, czuł mrowienie w rękach, jakby się ocknął po omdleniu. Tym razem jednak było ono przyjemne. Później, kiedy wracał pamięcią do tej chwili, wiedział, że właśnie wtedy zakochał się w Julii. Czy może raczej jego ciało się w niej zakochało. Świadomość, że zwrócił na siebie uwagę tej właśnie dziewczyny, sprawiła, że poczuł w całym ciele dziwną radość. Ciało Williama, zmęczone i znużone jego niezdecydowanym umysłem, odpaliło fajerwerki w nerwach i mięśniach, żeby dać mu do zrozumienia, że oto właśnie dzieje się coś ważnego.

– Dlaczego się śmiesz? – spytała Julia.

William zdołał się nieco opanować, po czym powiedział:

– Nie gniewaj się, proszę.

– Nie gniewam się. – Pokiwała głową ze zniecierpliwieniem.

– Nie wiem, dlaczego jestem taki wysoki – odparł, choć w głębi duszy wierzył, że siłą woli zmusił swoje ciało, żeby urosło takie wysokie. Ktoś, kto poważnie myślał o karierze koszykarza, musiał mieć co najmniej metr dziewięćdziesiąt dwa, a Williamowi tak bardzo na tym zależało, że zdołał przeciwstawić się własnej genetyce. – Gram w uniwersyteckiej drużynie koszykówki.

– Przynajmniej robisz z tego jakiś użytek – skwitowała. – Może przyjdę obejrzeć któryś z waszych meczów. Zwykle nie interesuje mnie sport i przychodzę na kampus wyłącznie na zajęcia. – Urwała, po czym dodała pospiesznie, jakby zawstydzona: – Mieszkam w domu, żeby zaoszczędzić.

Zanim odeszła, poprosiła, żeby zapisał sobie numer jej telefonu w podręczniku do historii, a William zgodził się, że zadzwoni do niej następnego dnia wieczorem. W pewnym sensie nie miało znaczenia, czy zakochał się w niej, czy nie, ponieważ tam, na środku ścieżki, to ona zdecydowała, że będą parą. Nieco później wyjawiała mu, że tygodniami obserwowała

go na zajęciach i podobało jej się to, jaki jest poważny i pilny. „Nie głupi jak inne chłopaki”, dodała.

Nawet po tym, jak poznał Julię, William wciąż poświęcał znaczną część czasu i uwagi koszykówce. W liceum był najlepszy w swojej drużynie, jednak na Northwestern odkrył z przerażeniem, że jest jednym z najsłabszych zawodników. Tutaj nie wystarczył sam wzrost. Okazało się, że koledzy z drużyny są od niego znacznie silniejsi. Większość z nich od lat podnosiła ciężary. William był zdruzgotany, gdy dowiedział się, że on też powinien być to robić. Teraz podczas treningów z łatwością go odpychano, a nawet przewracano. Przed treningami zaczął więc chodzić na siłownię i do późna zostawał na boisku, ćwicząc wrzuty z różnych kątów. Ciągłe był głodny i w kieszeniach kurtki nosił dodatkowe kanapki. Niebawem dotarło do niego, że jego rola w zespole ograniczy się do tego, „który spaja drużynę”. Był wystarczająco dobry w podaniach, rzutach i obronie, żeby być użytecznym, nawet jeśli nie miał tężyzny fizycznej. Przede wszystkim jednak rzadko popełniał błędy. „Gra z głową, ale nie jest zbyt skoczny”, powiedział o nim jeden z trenerów, kiedy myślał, że William go nie słyszy.

Jednym z warunków stypendium było to, że William podejmie pracę na kampusie. Z listy możliwych opcji wybrał tę, która mieściła się w budynku siłowni, a więc była praktyczna. O wyznaczonej godzinie zgłosił się do pralni w piwnicy wielkiego budynku. Czekala tam na niego chuda kobieta z wielkim afro i w okularach. Zobaczywszy go, pokręciła głową i powiedziała:

– Kazali ci tu przyjść? To nie miejsce dla takich jak ty. Biali chłopcy nie pracują w pralni. Idź do biblioteki albo na siłownię. No dalej, zmykaj stąd.

William zajrzał w głąb długiego wąskiego korytarza. Pod jedną ścianą stało w rzędzie trzydzieści pralek, a pod drugą

trzydzieści suszarek. Rzeczywiście, jak okiem sięgnąć nie widział nikogo białego.

– Co to za różnica? – zapytał. – Chcę tu pracować. Proszę.

Kobieta jeszcze raz pokręciła głową, aż okulary zakolysały się jej na nosie, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, ktoś poklepał Williama po plecach i głęboki głos wypowiedział jego imię. Gdy się odwrócił, zobaczył Kenta z drużyny koszykówki, silnego skrzydłowego, również z pierwszego roku. Na boisku Kent stanowił całkowite przeciwieństwo Williama. Był niebywale wysportowany, robił teatralne wsady, walił piłką w tablicę i szalał na boisku, ale nie potrafił czytać gry, często zaliczał straty i był kiepskim obrońcą. Trener łapał się za głowę, kiedy widział, jak Kent gania po boisku. Prawdopodobnie nie mógł pojąć, jak ktoś tak szybki i wysportowany może grać tak chaotycznie i nieobliczalnie.

– Cześć, stary – rzucił Kent. – Też tu pracujesz? Mogę pokazać mu co i jak, proszę pani. – Kent uraczył surową kobietę szerokim, czarującym uśmiechem.

– Zgoda, niech będzie – odparła nieco łagodniej. – Zabierz go stąd, a ja będę udawała, że go tu nie ma.

Od tej pory William i Kent tak ustawiali swoje zmiany w pralni, by pracować razem. Prali setki ręczników i strojów sportowych dla drużyn uniwersyteckich. Najgorsze były stroje piłkarzy, bo żeby usunąć nieprzyjemny zapach i plamy z trawy, trzeba było używać specjalnego wybielacza. William i Kent odkryli, że każdy etap prania wymaga specyficznego rytmu pracy, a ponieważ skupiali się na czasie i wydajności, przypominało to trochę treningi koszykówki. Pracując, analizowali mecze i główkowali nad tym, co i jak poprawić.

Pewnego popołudnia, kiedy składali ogromną stertę ręczników, William zaczął tłumaczyć:

– Cała akcja zaczyna się od tego, że rozgrywający podaje do rozgrywającego, silny skrzydłowy wybiega spod linii końcowej, a obrońca stawia mu zasłonę. – Urwał, żeby upewnić

się, że Kent za nim nadaża. – Jeśli podanie przejdzie, niski skrzydłowy wybiega z rogu, a zza zasłony wybiega drugi skrzydłowy i próbuje postawić zasłonę na słabej stronie.

– Zasłania zasłaniającego.

– Właśnie! A jeśli podanie przejdzie do skrzydłowego, mamy atak typu flex.

– To zbyt przewidywalne! Trener chce, żebyśmy w kółko robili to samo...

– Ale jeśli zrobimy to jak należy, obrona nie będzie miała nic do gadania, nawet jeśli będą się tego spodziewać. Zwłaszcza jeśli...

– Chłopcy – odezwał się mężczyzna przy sąsiedniej suzarce. – Wiecie, że pleciecie bzdury? To znaczy, oglądam koszykówkę i nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Kent i William uśmiechnęli się do niego. Po pracy poszli na górę do siłowni, gdzie było o dwadzieścia stopni chłodniej, i przez jakiś czas rzucali do kosza.

Kent pochodził z Detroit, miał swoje zdanie na temat gryczy i drużyn NBA i często, mówiąc coś, przerywał w połowie, żeby zaśmiać się z jednego z głupich żartów, które latały po szatni niczym papierowe samolociki. Na treningach trener bez przerwy krzyczał na niego, żeby przestał się popisywać, wobec czego Kent przepraszał, ale już pięć minut później robił dokładnie to samo.

– Podstawy! – grzmiał raz za razem trener.

Kent twierdził, że jest spokrewniony z Magikiem Johnsonem, który był na ostatnim roku Michigan State College i już niedługo miał trafić do NBA. Kent był ogólnie lubiany i z taką łatwością nawiązywał znajomości, że William zastanawiał się, dlaczego postanowił spędzać czas akurat z kimś takim jak on. Wiedział tylko, że jego własna małomówność podoba się przyjacielowi, który dzięki temu mógł kierować ich znajomością. Zwykle to Kent mówił, a William potrzebował czasu, żeby zrozumieć, że Kent opowiadał mu różne rzeczy po to, by

on również opowiedział mu coś o sobie. Po tym, jak usłyszał, że babcia przyjaciela cierpi na białaczkę, co zaskoczyło całą rodzinę – podobno twierdziła, że będzie żyła wiecznie, i robiła to z takim przekonaniem, że wszyscy jej wierzyli – William wyznał Kentowi, że odkąd przyjechał na studia, napisał do rodziców tylko jeden list i że w przerwie świątecznej nie zamierza wracać do domu.

Późnym wieczorem, gdy po treningu szli pustym dziedzińcem, czując skurcze w zmęczonych mięśniach, Kent powiedział:

– Czasami muszę przypominać sobie, że to bez znaczenia, czy trener posadzi mnie na ławce, czy mnie ochrzani, bo nie docenia mojej pięknej gry. Zamierzam studiować medycynę i nic ani nikt tego nie zmieni.

William był zaskoczony.

– Chcesz zostać lekarzem?

– Na sto procent. Nie wiem jeszcze, skąd wezmę na czesne, ale coś wykombinuję. A ty co będziesz robił po college'u?

William czuł, że ma zmarznięte palce. Był początek listopada i kiedy nabierał tchu, lodowate powietrze kłuło go w płuca. Nie myślał o tym, co będzie robił po college'u, i wiedział, że celowo odwraca wzrok od przyszłości. Chciał powiedzieć, że będzie grał w kosza, ale czuł, że nie jest na tyle dobry, żeby zostać zawodowym graczem. Fakt, że Kent zadał mu to pytanie, dowodził, że on również był podobnego zdania.

– Nie wiem – odparł William.

– No to lepiej zacznij się nad tym zastanawiać – poradził mu Kent. – Masz talenty. I obaj mamy jeszcze czas.

„Czy naprawdę mam jakieś talenty?“, pomyślał William. Z wyjątkiem gry w koszykówkę nic nie przychodziło mu do głowy.

Na początku grudnia Julia przyszła na piątkowy mecz i kiedy William zobaczył ją na trybunach, wzrok mu się roz-mazał i podał piłkę zawodnikowi przeciwnej drużyny.

– Hej! – wrzasnął Kent, który grał na pozycji rozgrywającego. – Co to miało być?

Później William dwukrotnie odebrał piłkę, co odwróciło losy gry na korzyść Dzikich Kotów, a w ofensywie podał z wyskoku do strzelca. Na chwilę przed końcem drugiej kwarty Kent się roześmiał.

– Już czaję! Gdzieś tutaj jest twoja dziewczyna! Która to? Wildcats wygrały. Dla Williama było to jedno z najlepszych spotkań rozegranych na początku sezonu. Po meczu wszedł na trybuny, żeby spotkać się z Julią. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że są z nią trzy inne dziewczyny. Wszystkie podobne do niej. Wszystkie o takich samych sięgających ramion niesfornych lokach.

– To moje siostry – oświadczyła Julia. – Przyprowadziłam je na rozpoznanie. Tak się mówi w żargonie koszykarskim, prawda?

William pokiwał głową. Czując na sobie spojrzenia czterech par oczu, był boleśnie świadomy tego, jak krótkie są jego spodenki i jak kiepsko prezentuje się jego koszulka.

– Podobało nam się – powiedziała dziewczyna, która wyglądała na młodszą od Julii. – Ale to pewnie męczące. Chyba w całym swoim życiu nie spościłam się tak jak ty. Jestem Cecelia, a to moja bliźniaczka, Emeline. Mamy po czternaście lat.

Emeline i Cecelia uśmiechnęły się przyjaźnie, na co William odpowiedział tym samym. Julia i czwarta z sióstr przyglądały mu się z minami rzeczoznawców jubilerskich oceniających szlachetny kamień. Nie zdziwiłby się, gdyby któraś z nich wyjęła z torebki lupę zegarmistrzowską i przyłożyła ją do oka.

– Wspaniale sobie poradziłeś... tam, na boisku – stwierdziła Julia.

William zaczerwienił się, a na policzkach Julii wykwitł delikatny rumieniec. Niemal wyczuwał jej pożądanie i nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Jeszcze nikt nigdy go nie

pragnął. Miał ochotę wziąć ją w ramiona na oczach jej siostr, na oczach wszystkich, jednak takie zachowanie nie leżało w jego naturze. Poza tym cały lepił się od potu.

– To Sylvie – dodała Julia. – Jestem od niej starsza, ale tylko o dziesięć miesięcy.

– Miło cię poznać – odezwała się Sylvie. Jej włosy były odrobinę ciemniejsze od włosów Julii, była też od niej nieco drobniejsza i mniej krągła. Z uwagą przyglądała się Williamowi, podczas gdy Julia puszyła się jak paw. Jeden z guzików koszuli opinającej jej obfite piersi rozpiął się i William dostrzegł fragment różowego biustonosza. Gdy to zauważyła, pospiesznie zapięła guzik.

– A ty ile masz rodzeństwa? – spytała któraś z bliźniaczek, William nie potrafił powiedzieć, czy była to Emeline, czy Cecelia. Nie były co prawda identyczne, ale zdaniem Williama wyglądały bardzo podobnie. Miały taką samą oliwkową cerę i takie same jasnobrązowe włosy.

– Rodzeństwa? Nie mam – odparł, choć przed oczami stanęła mu oprawiona w ramkę fotografia rudowłosej dziewczynki stojąca w salonie w domu rodziców.

Julia wiedziała, że jest jedynakiem – to była jedna z informacji, jakie uzyskała od Williama podczas ich pierwszej rozmowy telefonicznej. Jednak pozostałe trzy dziewczyny sprawiały wrażenie zszokowanych.

– To straszne – powiedziała Emeline albo Cecelia.

– Powinnyśmy zaprosić go do nas na obiad – stwierdziła Sylvie, na co pozostałe siostry pokiwały zgodnie głowami. – Wydaje się samotny.

I tak oto po czterech miesiącach w college'u William zyskał nie tylko dziewczynę, ale i nową rodzinę.

## JULIA

*Grudzień 1978 – lipiec 1981*

Julia była w ogrodzie na tyłach domu, otoczonym drewnianym płotem prostokącie długim na pięć i pół i szerokim na pięć metrów, gdzie patrzyła, jak matka wykopuje ostatnie w tym sezonie ziemniaki. Wiedziała, że William zjawi się punktualnie, tak jak wiedziała, że jedna z sióstr wpuści go do domu. Pewnie będzie się denerwował, gdy ojciec zacznie wypytywać go, czy zna na pamięć jakiegokolwiek wiersze, i gdy Emeline i Cecelia będą w kółko trajkotały. Sylvie pracowała w bibliotece, a to znaczyło, że uniknie jej ciekawskiego spojżenia. Kilka minut sam na sam z jej ojcem i bliźniaczkami pozwoli Williamowi lepiej ich poznać – Julia chciała, żeby przekonał się, jak bardzo są uroczy – a do tego jej widok ucieszy go jeszcze bardziej, gdy w pewnym momencie wejdzie do pokoju. W rodzinie Julia była znana ze swoich teatralnych wejść, co w praktyce oznaczało tylko tyle, że wybierała odpowiedni jej zdaniem moment, gdy nikt się tego nie spodziewał. Jako dziecko Julia wpadała do kuchni albo salonu z głośnym: „Tadam!”.

Co William pomyśli o ich małym domu wciśniętym pomiędzy inne, identyczne ceglane budynki przy 18th Place? Padawanowie mieszkali w Pilsen, dzielnicy robotniczej zajmowanej przez imigrantów. Boki tutejszych budynków zdobiły kolorowe murale, a w miejscowym supermarkecie równie często jak angielski słyszano się hiszpański i polski. Julia martwiła się, że William uzna zarówno okolicę, jak i wnętrze domu za obskurne. Przykryta plastikiem kwiecista kanapa. Wiszący na ścianie drewniany krzyż. Oprawione w ramki zdjęcia świętych stojące przy stole w jadalni. Kiedy matka Julii była zła, po kolei na głos wymieniała ich imiona, patrząc na twarze widniejących tam kobiet, jakby błagała je, żeby ocaliły ją przed jej własną rodziną. Adelajda, Agnieszka Rzymianka, Katarzyna ze Sieny, Klara z Asyżu, Brygida z Kildare, Maria Magdalena, Filomena, Teresa z Ávila, Maria Goretti. Wszystkie siostry Padavano znały te imiona lepiej niż różaniec. Rodzinne obiady zawsze kończyły się tym, że ojciec recytował poezję albo matka wymieniała imiona świętych.

Julia zadrżała z zimna. Nie miała kurtki. Na zewnątrz były zaledwie cztery stopnie, jednak większość mieszkańców Chicago mówiła o zimnie, dopiero gdy temperatura spadała poniżej zera.

– Lubię go – zwróciła się do matczynych pleców.

– Pije?

– Nie. Gra w koszykówkę. I jest wzorowym studentem. Jego przedmiotem kierunkowym jest historia.

– Jest tak mądry jak ty?

Julia nie odpowiedziała od razu. William był bardzo mądry. Jego mózg pracował, jak należy. Zadawał pytania, dzięki którym wiedziała, że naprawdę próbuje ją zrozumieć. Jego inteligencja nie objawiała się jednak w formie silnych, zdecydowanych przekonań. Ciekawiły go pytania, jednak był niepewny swych odpowiedzi, dzięki czemu można go było urobić. Kilka razy uczyli się razem w bibliotece Lozano, mieszczącej się

zaledwie parę przecznic od domu państwa Padavano. Sylvie pracowała w bibliotece, którą wszyscy w okolicy traktowali jak miejsce spotkań, jednak uczenie się tam oznaczało dla Williama godzinny powrót do akademika późnym wieczorem. Kiedy robili plany na weekend, powtarzał zawsze: „Zrobimy, co będziesz chciała. Ty zawsze masz najlepsze pomysły”.

Julia nigdy nie zastanawiała się nad inteligencją fizyczną, dopóki nie poszła na mecz koszykówki. Zaskoczyła ją fascynacja, z jaką obserwowała Williama i jego kolegów z drużyny. Na boisku był znacznie bardziej energiczny niż poza nim: wykrzykiwał polecenia, używał swojego silnego, wysokiego ciała, żeby blokować przeciwników. Julia nie interesowała się sportem i nie rozumiała zasad, ale jej przystojny chłopak biegał, skakał i obracał się z tak cudowną fizycznością i tak ogromnym skupieniem, że patrząc na niego, myślała: „Tak”.

– To poważny człowiek – odparła. – I traktuje życie poważnie, podobnie jak ja.

Rose dźwignęła się z ziemi. Obcego człowieka jej widok mógłby rozśmieszyć, lecz Julia była przyzwyczajona do jej dziwnego stroju. Pracując w ogrodzie, Rose miała na sobie zmodyfikowany strój łapacza z drużyny baseballowej i granatowe sombrero. Znalazła to wszystko na ulicy. Tę część dzielnicy zamieszkiwali wyłącznie Włosi, jednak wiele okolicznych ulic należało do rodzin z Meksyku – Rose wyjęła kapelusz z czyjegoś kubła na śmieci po obchodach święta Cinco de Mayo. Strój łapacza zdobyła po tym, jak mieszkający dwa domy dalej Frank Ceccione zaczął brać narkotyki i wyleciał ze szkolnej drużyny baseballowej. Rose nosiła jego ogromne ochraniacze na nogi, a do ochraniacza na klatkę piersiową doszyła kieszenie na narzędzia ogrodnicze. Wyglądała na gotową do gry, choć trudno było powiedzieć, o jaką grę chodzi.

– Czyli nie jest mądrzejszy od ciebie.

Zdjęła sombrero i przeczesała palcami włosy, kręcone jak u jej córek, jednak tu i ówdzie poprzetykane siwizną. Była

młodsza, niż można było przypuszczać, jednak lata temu wydała osobistą wojnę upływowi czasu i postanowiła nigdy więcej nie obchodzić urodzin. Utkwiła wzrok w grządkach. Do zebrania pozostały już tylko ziemniaki i cebula. Praca Rose ograniczała się teraz głównie do przygotowania ogrodu na zimę. Jedyne sekcje nieobsadzonej ziemi były zarezerwowane dla wąskiej ścieżki między roślinami a białą figurką Maryi Dziewicy, która stała oparta o płot w lewym tylnym kącie ogrodu.

Rose westchnęła.

– I dobrze. Ja jestem milion razy mądrzejsza od twojego ojca.

Julia wiedziała, że słowo „mądry” jest podchwytliwe. Bo niby jak zmierzyć coś takiego, zwłaszcza że żadne z rodziców nie było w college’u? Jednak matka miała rację. Julia widziała zdjęcia ślicznej, schludnej i uśmiechniętej Rose zrobione w tym samym ogrodzie na początku jej małżeństwa z Charliem, jednak ostatecznie jej matka pogodziła się z małżeńskim rozczarowaniem i zносиła je z takim samym uporem, z jakim przywdziewała ten niedorzeczny strój. Wszystkie jej starania, które miały na celu pchnąć męża w stronę sukcesów i stabilizacji finansowej, spaliły na panewce. Teraz dom był królestwem Charliego, a ogród schronieniem Rose.

Niebo ciemniało, w powietrzu czuło się coraz większy chłód. Kiedy na dobre zrobi się zimno, okolica pograży się w ciszy, jednak dziś wieczorem rozbrzmiewała dźwiękami, jak gdyby chciała pokazać, że jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. W oddali słychać było dziecięcy śmiech, stara pani Ceccione szczebiotała w ogrodzie, gdzieś niedaleko motocykl zakaszał trzy razy, zanim w końcu odpalił.

– Chyba czas wracać do domu – powiedziała Rose. – Wstydzisz się, że twoja staruszka tak wygląda?

– Nie – odparła Julia. Wiedziała, że uwaga Williama będzie skupiona na niej. Uwielbiała ten pełen nadziei wzrok,

który kierował w jej stronę, jak gdyby był okrętem wypatrującym bezpiecznego portu. William dorastał przy ojcu, który codziennie chodził do pracy, w ładnym domu z dużym trawnikiem i miał własną sypialnię. Najwyraźniej wiedział, jak wygląda sukces i bezpieczeństwo, tak więc fakt, że dostrzegał je w Julii, bardzo ją cieszył.

Rose próbowała zbudować stabilne życie, jednak Charlie wiecznie gdzieś się oddalał i wykopywał każdą kostkę, którymi starała się wybrukować ich wspólną ścieżkę. Mniej więcej w połowie pierwszej rozmowy z Williamem Julia zdecydowała, że to mężczyzna odpowiedni dla niej. Miał wszystko, czego szukała, i tak jak powiedziała matce, naprawdę go lubiła. Sprawiał, że się uśmiechała, i uwielbiała wsuwać swą drobną rękę w jego dużą dłoń. Stanowili doskonałą drużynę: William doświadczył życia, którego pragnęła, kiedy więc zaczną budować dla siebie wspólną przyszłość, będzie wiedział, na co skierować jej niespożyte pokłady energii. Kiedy się pobiorą i założą własny dom, Julia pomoże rodzinie. Zbuduje solidne fundamenty i podzieli się nimi z bliskimi.

Omam nie roześmiała się na głos, gdy wszedłszy do salonu, zobaczyła ulgę malującą się na twarzy chłopaka. William siedział obok ojca na skrzypiącej kanapie, a ręka Charliego spoczywała na jego ramieniu. Cecelia leżała na starym czerwonym fotelu, a Emeline stała przed wiszącym obok drzwi lustrem i poprawiała włosy.

– Masz doskonały nos, Williamie – mówiła Cecelia poważnym głosem.

– Och – bąknął William, najwyraźniej zaskoczony tym stwierdzeniem. – Dziękuję?

Julia się uśmiechnęła.

– Nie zwracaj uwagi na Cecelię. Mówi tak, bo jest artystką. Cecelia miała specjalny dostęp do pracowni plastycznej w szkole i we wszystkim widziała materiał na przyszłe obrazy.

Ostatnim razem, gdy zaintrygowana miną siostry Julia zapytała ją, o czym myśli, ta odparła: „O fiolecie”.

– Naprawdę masz ładny nos – potwierdziła uprzejmie Emeline, która zauważyła, że William się zaczerwienił, i chciała, by poczuł się lepiej. Emeline potrafiła wyczuwać nastroje w każdym pomieszczeniu, w którym się znalazła, i pragnęła, by wszyscy zawsze czuli się zadowoleni i nieskrępowani.

– Nie zna Whitmana – Charlie zwrócił się do Julii. – Wyobrażasz to sobie? William pojawił się tutaj w samą porę. Dałem mu do przeczytania kilka linijek.

– Nikt nie zna Whitmana oprócz ciebie, tatku – powiedziała Cecelia.

Fakt, że William nie znalazł żadnego z wierszy Walta Whitmana, tylko utwierdził Julię w przekonaniu, że jej chłopak różni się od jej ojca. Z głosu Charliego wyczytała, że coś wypił, choć nie był jeszcze pijany. W ręce trzymał szklaneczkę wypełnioną do połowy topniejącymi kostkami lodu.

– Jak chcesz, mogę zarezerwować ci w bibliotece *Źdźbła trawy* – Sylvie zwróciła się do Williama. – Warto je przeczytać.

Julia nie zauważyła Sylvie, która stała w drzwiach do kuchni. Musiała chwilę temu wrócić do domu, usta miała zaczerwienione – znak, że znowu całowała się między regałami z jednym ze swoich chłopaków. Sylvie była w ostatniej klasie liceum i w wolnym czasie pracowała, żeby odłożyć pieniądze na dwuletni college przygotowujący do wyższych studiów. W przeciwieństwie do Julii nie miała co liczyć na stypendium, bo brakowało jej determinacji starszej siostry. Sylvie doskonale radziła sobie z przedmiotami, które ją interesowały, natomiast z pozostałych miała dostateczne albo dopuszczające. Tymczasem determinacja Julii i jej plany na przyszłość sprawiły, że przeszła przez liceum niczym burza.

– Dziękuję – odparł William. – Obawiam się, że w ogóle nie czytam poezji.

Julia była pewna, że William nie zauważył nabrzmiałych ust jej siostry, a nawet jeśli, nie miał pojęcia, co one oznaczają. Ze wszystkich sióstr to właśnie Sylvie była Julii najbliższa. Była również jedyną osobą, która krzyżowała jej szyki, i jedyną, przy której Julia nie wiedziała, co powiedzieć. Jej siostra czytała setki powieści – książki były jedynym hobby Sylvie – i to z nich utkała swój życiowy cel: a był nim płomienny, jedyny w swoim rodzaju romans. Było to dziecięce marzenie, lecz Sylvie czepiła się go oburącz. Codziennie, w każdym dniu swego życia, szukała tego jedynego – swojej drugiej połówki, bratniej duszy. Dlatego obściskiwala się z chłopcami w bibliotece, żeby być gotową, kiedy w końcu go znajdzie.

„To nie w porządku – powtarzała jej Julia, kiedy nocami leżały obok siebie w ciemnym pokoju. – Zresztą miłość, której szukasz, nie istnieje. Idea miłości w *Wichrowych wzgórzach*, *Dziwnych losach Jane Eyre* i *Annie Kareninie* to niszczycielska siła. To tragedie, Sylvie. Tylko pomyśl, wszystkie te powieści kończą się rozpazą albo śmiercią”.

Sylvie westchnęła. „Tu nie chodzi o tragedię – odparła. – Do dziś czytamy te książki, bo opisywane w nich romanse są tak cudowne i prawdziwe, że nie potrafimy przejść obok nich obojętnie. Myślę, że one nie niszczą, tylko rozwijają. Jeśli będę miała szczęście i doświadczę takiej miłości...” Urwała, jak gdyby nie znajdowała słów, by opisać, jak bardzo będzie to ważne.

Widząc czerwone usta siostry, Julia pokręciła głową. Wiedziała, że kiedyś marzenie Sylvii obróci się przeciwko niej. Sylvie za dużo rzeczy przeżywała w wyobraźni. W końcu przyczepią jej etykietkę puszczalskiej i poślubi przystojnego frajera tylko dlatego, że popatrzył na nią jak Heathcliff.

Emeline opowiadała o swoim wychowawcy, który miał nadzór sądowy za palenie marihuany.

– Jest taki szczery – mówiła. – Opowiedział nam, jak go złapali i w ogóle. Boję się, że będzie miał przez to jeszcze

więcej kłopotów. Chyba nie rozumie zasad dorosłych i nie wie, co można powiedzieć, a co lepiej zachować dla siebie. Miałam ochotę powiedzieć mu, żeby siedział cicho.

– Powinnaś też powiedzieć mu, żeby nie palił trawki – rzuciła Cecelia.

– Może zaczniemy jeść? – Rose wyszła z sypialni, czysta i przebrana w jedną z ładniejszych sukienek do chodzenia po domu. – Cudownie cię poznać, Williamie. Lubisz czerwone wino?

William dźwignął swoje długie ciało z niskiej kanapy i skinął głową.

– Dobry wieczór, proszę pani.

– Słodka matko. – Rose zadarła głowę, żeby na niego spojrzeć. Miała zaledwie metr pięćdziesiąt dwa wzrostu. – Julio, nie przyszło ci do głowy, żeby powiedzieć nam, że jest olbrzymem?

– Niesamowity, prawda? – odezwał się Charlie. – I nasza Julia jest przy nim jakaś taka łagodniejsza, choć nie sądziłem, że to w ogóle możliwe. Spójrz tylko na jej uśmiech.

– Tatku – rzuciła Julia.

– Na jakiej pozycji grasz? – Charlie zwrócił się do Williama.

– Niskiego skrzydłowego.

– Ha! Skoro ty jesteś niskim skrzydłowym, nie chciałbym zobaczyć silnego skrzydłowego.

– Ciekawe, czy istnieje ewolucyjne wytłumaczenie takiego wzrostu – odezwała się Sylvie. – Czy w przeszłości potrzebni byli ludzie, którzy wyglądali znad murów, żeby zobaczyć, czy nie zbliża się wróg?

Wszyscy w pokoju, łącznie z Williamem, roześmiali się, choć Julia miała wrażenie, że oczy zaszklily mu się od łez. Podeszła do niego i szepnęła:

– Przytłaczamy cię?

W odpowiedzi ucisnęła ją za rękę, co mogło znaczyć zarówno „tak”, jak i „nie”.

Kolacja nie była pyszna. Chociaż warzywa w ogrodzie rosły piękne, Rose nienawdziła gotować, więc dziewczyny na zmianę przygotowywały posiłki. Zresztą warzywa i tak nie były przeznaczone dla domowników – bliźniaczki co tydzień sprzedawały je na targu rolnym w pobliskiej bogatej dzielnicy. Tego wieczoru gotowała Emeline, a to znaczyło, że jedli gotowe mrożone dania. William – który jako gość mógł wybierać pierwszy – zdecydował się na indyka serwowanego na plastikowej tacce z małymi przegródkami na tłuczone ziemniaki, groszek i sos żurawinowy. Po nim wyboru dokonali członkowie rodziny i wszyscy zabrali się do jedzenia. Emeline przygotowała również gotowe rogaliki z ciasta francuskiego, które po wyjęciu z opakowania wystarczyło tylko włożyć do piekarnika. Te przyjęto z nieco większym entuzjazmem i zjedzono w ciągu kilku minut.

– Kiedy dorastałem, moja mama przygotowywała ten sam obiad – powiedział William. – Miło było przypomnieć sobie, jak smakuje. Dziękuję.

– Mam nadzieję, że jesteś zbulwersowany naszą gościnnością – odparła Rose. – Jestem ciekawa, czy wychowano cię w wierze katolickiej.

– W Bostonie chodziłem do szkoły katolickiej.

– Zamierzasz pracować w tej samej branży co twój ojciec? – zapytał Charlie.

To pytanie zaskoczyło Julię i jej siostry. Charlie nigdy nie wspominał o pracy i nigdy nikogo nie pytał, czym się zajmuje. Nienawdził swojej pracy w fabryce papieru. Zdaniem Rose nie został jeszcze zwolniony tylko dlatego, że właściciel firmy był jego przyjacielem z dzieciństwa. Charlie wielokrotnie powtarzał córkom, że praca nie czyni człowieka tym, kim jest.

„A co czyni ciebie tym, kim jesteś, tatku?“, spytała kilka lat temu Emeline. Powiedziała to z całą słodyczą małej dziewczynki, jak przystało na najdelikatniejszą i najszlachetniejszą ze wszystkich czterech sióstr. „Twój uśmiech – odparł Charlie. – Nocne niebo. Kwitnący dereń przed domem pani Ceccione”.

Sluchajac go, Julia pomyslała: „To wszystko bzdury. Kompletnie niepotrzebne mamie, która co tydzień robi pranie obcym ludziom, żeby zapłacić rachunki”.

Może Charlie próbował zadać uprzejme pytanie, które, jak mu się zdawało, inni ojcowie zadawali chłopcom swoich córek. Ledwie to powiedział, dopił drinka i sięgnął po butelkę wina.

„Tatko wyglądał na przestraszonego – zauważyła Sylvie, kiedy wieczorem leżały z Julią w ciemnym pokoju. – A słyszałaś, że mama użyła słowa »zbulwersowany«? Nigdy tak nie mówi. Oboje popisywali się przed Williamem”.

– Nie, proszę pana – odparł William. – Mój tata pracuje w księgowości. Ja... – zawahał się, a Julia pomyślała: „To dla niego trudne, bo nie zna odpowiedzi. Brakuje mu odpowiedzi”. Dreszcz podniecenia przebiegł jej po kręgosłupie.

Julia była specjalistką od odpowiedzi. Odkąd nauczyła się mówić, dyrygowała siostrami, dostrzegała ich problemy i podawała gotowe rozwiązania. Czasami irytowało je to, musiały jednak przyznać, że posiadanie w domu „mistrzynie w dziedzinie rozwiązywania problemów” było przydatne. Jedna po drugiej przychodziły do niej i szeptały zakłopotane: „Julio, mam problem”. Zwykle chodziło o złośliwego chłopaka, surowego nauczyciela albo zgubiony pożyczony wisiorek. Zadowolona Julia zacierała wówczas ręce i przystępowała do obmyślenia rozwiązania.

– Jeśli z koszykówką nie wypali, może... – zaczął William i urwał. Wydawał się równie zagubiony jak chwilę temu Charlie, zawieszony w czasie, jak gdyby miał nadzieję, że końcówka zdania pojawi się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Może zostanie profesorem – dokończyła Julia.

– O – rzuciła z aprobatą Emeline. – Dwie przecznice dalej mieszka przystojny profesor, za którym uganiają się kobiety. Nosi świetne marynarki.

– Profesor czego? – spytała Sylvie.

– Nie mam pojęcia – odparła Emeline. – Zresztą to nieważne, prawda?

– Oczywiście, że to ważne.

– Profesor – powtórzył Charlie, jakby Julia powiedziała „astronauta” albo „prezydent Stanów Zjednoczonych”. Rose bez przerwy mówiła o college’u, lecz zakończyła edukację na szkole średniej, a Charlie rzucił studia, gdy Julia przyszła na świat. – To byłoby coś.

William posłał Julii spojrzenie, które po części było podziękowaniem, a po części czymś innym, po czym przy stole znowu zrobiło się gwarно.

Później, kiedy wyszli na spacer po okolicy, William powiedział:

– O co chodziło z tym, że zostanę profesorem?

Julia poczuła, że się rumieni.

– Chciałam pomóc, a Kent powiedział mi, że piszesz książkę o historii koszykówki.

William puścił jej rękę i chyba nawet sam nie zwrócił na to uwagi.

– Tak powiedział? To nie jest książka, na razie to tylko notatki. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek powstanie z tego coś więcej. Nie mam pojęcia, co z tego wyjdzie.

– To imponujące – odparła. – Nie znam na uczelni nikogo, kto w wolnym czasie pisałby książkę. To bardzo ambitne. Jak przystało na przyszłego profesora.

William wzruszył ramionami, widziała jednak, że rozważa ten pomysł.

Był górującą nad nią ciemną postacią. Młodym mężczyzną. Tego wieczoru dzielnica Pilsen była dziwnie cicha pod granatowym niebem. Stali w wąskiej bocznej uliczce, skąd Julia widziała wieżyczkę kościoła Świętego Prokopa, do której razem z rodziną chodziła w niedziele na msze. Julia pomyślała o Sylvie całowanej przy regale z literaturą science fiction, pod jasnymi żarówkami biblioteki. Wyciągnęła rękę

i pociągnęła Williama za przód kurtki. Chodź no tu, zdawał się mówić ów gest.

William znalazł ten sygnał i posłusznie pochylił głowę. Przywarł wargami do jej warg – delikatnych, ciepłych – i stali przytuleni na środku ulicy, w środku romansu, pośrodku dzielnicy. Julia uwielbiała całować Williama. Przed nim całowała się z dwoma chłopcami, ale oni traktowali pocałunki jak wystrzał pistoletu startowego w biegu sprinterskim. Metą w tym wyścigu był seks, jednak żaden z nich nie spodziewał się dotrzeć tak daleko. Po prostu próbowali pokonać jak najdłuższy dystans, zanim Julia odwoła wyścig. Pocałunek w policzek zmieniał się w pocałunek w usta, a ten w pocałunek z języczkiem, po czym chłopak zaczynał dyszeć i ugniatał piersi Julii, jak gdyby chciał wziąć jej wymiary. Julia jeszcze nigdy nie pozwoliła nikomu przekroczyć tej granicy, lecz same te starania były tak stresujące, że jedyne pocałunki, jakie знаła, były mokre i zachłanne. Tymczasem William był inny. Jego pocałunki nie przypominały wyścigu. Były powolne, dzięki czemu mogła się odprężyć. Czuła się wtedy bezpieczna, a jej ciało rozpalalo się kawałek po kawałku i coraz mocniej przywierało do Williama. Przy nim po raz pierwszy zapragnęła czegoś więcej. Pragnęła go.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, wyszeptala mu w pierś:

– Zamierzam się stąd wynieść.

– Skąd? Mówisz o domu rodzinnym?

– Tak. I całej tej okolicy. Po college’u. Kiedy – tym razem to ona się zawahała – kiedy zacznę prawdziwe życie. Tutaj nic się nie zaczyna, widziałeś moją rodzinę. Ludzie utykają tu na dobre. – Wyobrazila sobie ziemię w ogrodzie Rose: żyzną, pełną kamyków, lepiącą się do rąk. Wytarła dłoń w kurtkę Williama, jakby chciała zetrzeć z niej niewidoczny brud. – W Chicago jest wiele ładniejszych okolic. To zupełnie inny świat od tego tutaj. Zastanawiam się, czy będziesz chciał wrócić do Bostonu.

– Podoba mi się tu – odparł. – I lubię twoją rodzinę.

Julia uświadomiła sobie, że czekając na jego odpowiedź, wstrzymywała oddech. Zdecydowała, że William jest jej przyszłością, i choć nie była pewna, czy on czuje to samo, podejrzewała, że tak.

– Ja też ich lubię – powiedziała. – Po prostu nie chcę być taka jak oni.

Kiedy późnym wieczorem wróciła do domu i po cichu weszła do sypialni, którą dzieliła z Sylvie, siostry czekały na nią w koszulach nocnych. Na jej widok uśmiechnęły się triumfalnie.

– No co? – szepnęła i ona również się uśmiechnęła.

– Zakochałaś się! – wyszeptala Emeline, a chwilę później wciągnęły ją do łóżka, by świętować fakt, że pierwsza z nich uczyniła ten ważny krok i oddała swe serce chłopakowi. Wszystkie cztery leżały teraz w jednym łóżku, tak jak robiły to niezliczoną ilość razy. W miarę jak ich ciała rosły, było to coraz trudniejsze, wiedziały jednak, jak się umościć, żeby się zmieścić.

Julia roześmiała się, zakrywając usta dłonią, by nie obudzić rodziców. W objęciach siostr odkryła ze zdumieniem, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Chyba tak – odparła.

– Jesteśmy za – powiedziała Sylvie. – Patrzy na ciebie, jakbyś była ósmym cudem świata. Którym jesteś!

– Podoba mi się kolor jego oczu – wyznała Cecelia. – Mają niezwykle odcień niebieskiego. Namaluję je.

– To nie jest miłość, której szukasz, Sylvie – powiedziała Julia, żeby wszystko było jasne. – Ta jest rozsądna.

– Oczywiście – odparła Sylvie i pocałowała siostrę w policzek. – Ty jesteś rozsądna. A my cieszymy się twoim szczęściem.

William oświadczył się jej na przedostatnim roku college’u. Taki był plan, plan Julii. Mieli się pobrać zaraz po studiach. Julia zmieniła przedmiot kierunkowy z historii na ekonomię,

po tym jak wzięła udział w fascynującym kursie z psychologii organizacyjnej. Teraz uczyła się o systemach, o tym, jak z mnóstwa skomplikowanych części tworzy się biznesy, o motywacjach i rozmaitych mechanizmach. O tym, że jedna nie działająca lub działająca niepoprawnie część może pogрузić całą firmę i doprowadzić do jej upadku. Jej profesor był konsultantem biznesowym, który doradzał przedsiębiorstwom, co zrobić, by praca była bardziej wydajna i skuteczna. Julia pracowała dla profesora Coopera w wakacje między przedostatnim a ostatnim rokiem college'u, robiła notatki i sporządzała wykresy na papierze milimetrowym. Rodzina śmiała się z jej granatowych czółenek i garsonki, jednak ona uwielbiała wchodzić do klimatyzowanych budynków, przebywać z ludźmi, którzy traktowali poważnie siebie i swoją pracę i tak też się ubierali, uwielbiała nawet przechodzić przez chmury dymu papierosowego w drodze do toalety. Mężczyźni wyglądali tak, jak jej zdaniem powinni wyglądać mężczyźni, dlatego na urodziny kupiła Williamowi białą koszulę z przypinanymi rogami kołnierzyka. Na Boże Narodzenie planowała podarować mu sztruksową marynarkę. William postanowił urzeczywistnić sugestię Julii i zostać profesorem historii. Julia doceniała elegancję swych planów: zaręczyny latem, ukończenie studiów i ślub latem przyszłego roku, a później doktorat Williama. Była zachwycona myślą, że ma życie przed sobą, na wyciągnięcie ręki, a nie gdzieś w oddali. Czekala całe dzieciństwo, żeby dorosnąć, żeby dotrzeć do tej właśnie chwili i rozkoszować się wszystkimi przywilejami dorosłości.

Ostatnie lato na Northwestern William spędził na obozie treningowym koszykówki i wieczorami Julia często przychodziła do niego na siłownię, a potem szli razem na kolację. Czasami na dziedzińcu wpadała na Kenta idącego do pracy w szpitalu. Lubiła go, choć czuła się przy nim nieco niezręcznie. Zupełnie jakby oboje mieli kiepskie wyczucie czasu, do tego stopnia, że często zaczęli mówić w tym

samym momencie. Gdy był z nimi William i coś powiedział, odpowiadali oboje jednocześnie, wpadając sobie w słowo. Julia szanowała Kenta – w końcu planował ukończyć studia medyczne – i uważała, że ma dobry wpływ na Williama. Jej skrępowanie wynikało po części z tego, że chciała, by Kent ją lubił, a nie była pewna, czy tak jest. Gdy byli razem, prowadziła w głowie wyimaginowane rozmowy, szukając sposobu, który ostatecznie przekona go do niej.

– Dobry wieczór, generale – powitał ją Kent, kiedy wpadli na siebie tego wieczoru. – Słyszałem, że podbijasz świat korporacji.

– Nie nazywaj mnie tak – poprosiła, ale się uśmiechnęła. Słów Kenta nie można było potraktować jako zniewagi, nie pozwalały na to jego ton i szczery uśmiech. – Jak tam koszykówka?

– Cudownie – odparł. Sposób, w jaki to powiedział, przypomniał Julii Cecelię, która na pytanie, o czym myśli, rzuciła radośnie: „O fiolecie”. – Nasz chłopiec był dzisiaj w wyjątkowo dobrej formie – dodał Kent. – Dobrze się bawi w te wakacje. Aż miło popatrzeć.

Zdaniem Julii zabrzmiało to jak połajanka, choć nie wiedziała, z jakiego powodu Kent miałby ją besztać. Czyżby myślał, że nie chciała, żeby William dobrze się bawił?

Kiedy odszedł, usiadła na ławce i pokręciła głową zła na siebie, że pozwoliła, by słowa Kenta ją zdenerwowały. Wyjęła z torebki lusterko i pociągnęła usta szminką. Gdy zobaczyła swojego przystojnego narzeczonego, który wychodził z siłowni w towarzystwie wysokich, tyczkowatych młodych mężczyzn, wstała. Niedawno wpadła na ulicy na koleżankę, z którą na pierwszym roku chodziła na zajęcia z biologii. „Słyszałam, że zaręczyłaś się z tym wysokim chłopakiem o pięknych oczach – powiedziała dziewczyna. – Jest taki słodki”.

Kiedy szli z Williamem na kolację, mocno ścisłała go za rękę.

William był powolny i małowówny, dopóki nie spożył tysięcy kalorii i na jego twarz nie wrócił rumieniec. Tymczasem Julia mogła paplać podekscytowana przez cały dzień.

– Profesor Cooper mówi, że mam naturalny dar do radzenia sobie w trudnych sytuacjach – powiedziała.

– Ma rację. – William pokroił w kostkę pieczonego ziemniaka i włożył do ust kęs.

– Zastanawiałam się, czy ostatnio pisałeś. – Uważała, by nie używać słowa „książka”. – Mógłbyś wykorzystać to do pracy magisterskiej.

– Nic z tego – odparł. – Ostatnio rzadko piszę i nie mogę skupić się na materiale.

– Chętnie przeczytałabym to, co już masz.

Pokręcił głową.

Chciała zapytać: „Czy Kent to czytał?”, ale bała się, że William powie: „Tak”. Miała ochotę przeczytać jego książkę, bo była jej ciekawa i chciała zobaczyć, czy jest dobra i czy nadaje się, żeby zbudować wokół niej karierę.

– Zaczęę w tym roku – powiedział William. – Trener mówi, że zrobiłem spory postęp.

– Zacznieisz?

– Będzie wystawiał mnie w podstawowym składzie. Kiedy przyjadą skauci NBA, zobaczą mnie, jak gram.

– Fajnie – rzuciła. – Będę ci kibicować.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się.

– Powiedziałeś już rodzicom o naszych zaręczynach?

Pokręcił głową.

– Nie. Wiem, że powinienem, ale... – Zawahał się. – Nie sądzę, żeby byli zainteresowani.

Julia uśmiechnęła się cierpko. William od tygodni unikał rozmowy z rodzicami i poinformowania ich o zaręczynach. Bała się, że wstydzi się im powiedzieć, że poprosił o rękę dziewczynę z biednej rodziny włoskich imigrantów. Z tego, co opowiedział jej o swoim wychowaniu, wiedziała, że jego ojciec

miał imponującą pracę, a matka nie musiała pracować. Oboje prawdopodobnie mieli oczekiwania wobec swojego jedynaka, jednak William nie chciał się do tego przyznać, a ona nie zamierzała otwarcie mówić mu o swoich obawach. Teraz powiedziała głosem równie cierpkim jak jej uśmiech:

– Nie bądź niedorzeczny. To twoi rodzice.

– Posłuchaj, wiem, że dziwnie byłoby, gdybym ich nie zaprosił, ale chyba nie musimy tego robić – odparł, lecz widząc jej minę, dodał: – Po prostu jestem szczery. Wiem, że to dość niezwykle.

– Zadzwońisz do nich dziś wieczorem – powiedziała. – A ja będę przy tobie. Jestem czarująca. Pokochają mnie.

William milczał przez chwilę, przymknął powieki jak zawsze wtedy, gdy błędził myślami gdzieś daleko od niej. Kiedy podniósł wzrok, spojrzał na nią, jak gdyby była problemem, który należy rozwiązać.

– Kochasz mnie. – Nie zapytała, stwierdziła.

– Tak – odrzekł i to jedno słowo wystarczyło, żeby zdecydował. – Dobrze, zróbmy to.

Godzinę później, siedząc na twardym drewnianym stolku w staromodnej budce telefonicznej na korytarzu akademika, zadzwonili do Bostonu. Gdy w słuchawce rozbrzmiał głos matki, William przywitał się z nią. Wydawała się zaskoczona telefonem od syna, ale była uprzejma. Gdy Julia zaczęła mówić do słuchawki – jej głos nawet jej samej wydał się dziwnie donośny, jakby mówiła przez megafon – matka Williama sprawiała wrażenie nieobecnej. Zaraz potem powiedziała, że ma coś w piekarniku i cieszy się, że się pobierają, ale musi już iść.

Cała rozmowa trwała nie dłużej niż dziesięć minut.

Julia odwiesiła słuchawkę. Z trudem mogła złapać powietrze po usilnej próbie dotarcia do tej chłodnej, obojętnej kobiety na drugim końcu linii.

– Miałaś rację – stwierdziła, gdy odzyskała głos. – Ona nie chce przyjechać.

– Przykro mi – powiedział William. – Wiem, że jesteś rozczarowana. Wyobrażałaś sobie, że wszyscy będą obecni.

Julia siedziała wciśnięta w Williama na maleńkim taborecie. W budce było gorąco. Czuła, jak wraz z temperaturą rośnie jej rozczarowanie i współczucie dla tego chłopaka, zasługującego na rodziców, którzy będą całować go w policzek, tak jak jej rodzice całowali ją. Kiedyś postanowili, że zaczekają z seksem do ślubu, choć raz czy dwa byli bliscy złamania tego postanowienia. Ta nieprzystępna kobieta oddała Williama Julii w sposób, który wydał się jej równie ważny jak małżeńska przysięga. Musiała się nim zaopiekować, musiała kochać go całą sobą. I musiała to zrobić teraz. Jej twarz nabrała rumieńców, spódnica owinęła się wokół ud. Jeśli chciała, żeby wszystko było dobrze, musiała zbliżyć się do niego jeszcze bardziej.

– Czy w twoim pokoju będziemy mieli trochę prywatności? – spytała.

Współlokator Williama wyjechał na wakacje, więc chłopak pokiwał głową i spojrzał na Julię pytająco.

W odpowiedzi wzięła go za rękę, poprowadziła korytarzem do pokoju i zamknęła za nimi drzwi.